



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

SEWERYNA DUCHIŃSKA.

Znana i w zasłudze swej wysoko uznana pisarka; poetka, której pieśń gorąca od czasu do czasu zdaleka do nas zaleci; niezmiernie poczytna korespondentka z Paryża do *Biblioteki Warszawskiej* i *Tygodnika Powszechnego*, — Seweryna z Żochowskich Pruszkowa, z drugiego małżeństwa Duchińska, przedstawia w szeregu naszych piszących kobiet jedną z najpiękniejszych postaci — sympatyczną nam przez najszlachetniejsze skierowanie uczuć i myśli, przez zapamiętanie się jak w gwiazdę przewodnią natchnień swoich, w nasz ideał rodzimy. Urodzona w Sochaczewskim nad Bzurą, jest też jakgdyby duchem spowinowacą z Lenartowiczem. Inny rodzaj talentu, inny zupełnie jego wyraz, ale to samo rozkochanie się w formach życia, które się tam toczyło, w spokojnem, cichem jego pięknie swojskiem. U Lenartowicza to lud i natu-



SEWERYNA DUCHIŃSKA.

ra, u Duchińskiej dwór szlachecki Cały pierwszy okres jej tworzenia od 1853 do 1863 r. nosi na sobie tę cechę: gawędy szlacheckiej. Cztery tomy: *Powieści naszych czasów* wydane przez Sennewalda w 1853 r. są pierwszym jej dziełem. Słabsze od tego, co przyjdzie później, objawiają już tensam, stale utrzymany kierunek kobieta jest tam pojęta wedle naszej modły: sercem gorąca, przez serce mężna, i dlatego, choć silnie uczuciowa, nie sentymentalna; zawsze z obywatelską myślą, z obywatelskim ideałem przed sobą, skoro tylko jest to natura lepsza i wyższa. W trzy lata później ukazały się: *Powieści poetyczne: Dwa dwory, Zagroda wiejska, Powieści. córka wdowy*, i tu już występuje poetka; łatwość tworzenia niezmierna, wiersz bardzo potoczny, harmonijny, obrazy wiejskiego życia naszej epoki z kolorytem silnie swojskim — gawędy szlacheckie, wśród których charaktery kobiece zaznaczają się piękną myślą i uczuciem. To, co angielski poeta, Tennyson, powiedział pisząc o szlachetnej bohaterce dawnego swego narodu:

„Nie my tylko, ostatnie pokolenie Kronosa—nie my tylko kochamy, nie my tylko czujemy!“ powtórzyć można wobec kobiecych ideałów Duchinińskiej. W „Powieści poetycznej“ *Dwa dwory*, dziewczynce u kolebki dają tam życzenie i naukę razem, aby, rosnąc na chwałę Boga, rosła pracowicie „na pożytek braci“:

„Niech się czem może światu wypłaci
Byleby tylko z obrazą nieba.
Nie pożywała w próżniactwie chleba...“

To też ta dziewczeczka, tak błogosławiona przy chrzcie, jest następnie kobietą, z powodu której autorka pisze:

„O! często, często słaba niewiasta,
Olbrzymia duchem, pod nieba wzrasta,
Gdy w samolubstwa grobowiec ciasny
Nie zagrzebała boleści własnej.“

Uczucie piękna w naturze daje najpiękniejsze rysy *Powieściom poetycznym*. Poetka ma tej natury głębokie i prawdziwe umiłowanie, i dlatego też nie potrzeba jej koniecznie wielkich, wspaniałych widoków, aby piękno dostrzegać i czuć. To, czego Żmichowska doświadczała wobec krajobrazu nad Liwcem, wobec zielonej równiny łąk, i strumienia wody wśród płaskich, trzciną zarosłych brzegów, z trochę mgły i słońcem w górze, odczuwa podobnie Duchinińska, patrząc na rozłogi pól wśród wioski nad Bzurą. Widzi piękno rozsypane wszędzie, odkrywa je i sobie łączy z obrazem otaczającego ją życia.

„Pan Bóg przecie

Nie darmo stworzył i drobne kwiecie,
Bo gdyby w habry, gdyby w ostróżki,
Nie przybrał pustej i wąskiej dróżki,
Gdyby wśród kłosów nie siał kąkolu,
Smutno-by było na szczerem polu.“

pisze Duchinińska z tejsamej potrzeby i właściwości ducha, przez którą obie te poetyczne organizacje kobiece chwytają rysy piękna rozlanego w ojczyście ich przyrodzie. Był to związek jak-gdyby córek z matką, zadziernienie poezyi w uczucie miłosne. Żmichowska - to natura gorąca i na inne loty uskrzydłona, ale obie pochodzą z jednej epoki, i usta ich piją jednakowo ze źródeł tej wody żywej, z którą spotykało się wtedy każde dziecko nasze. Wychowanie zestawiało dzieci tamtych czasów z poezją ludową przez bajkę. To, na co Żmichowska kładzie tak wielki nacisk w genezie rozwoju poetyczności swojej: bajka ludowa, prządka wiejska i jej wieczornice—tosamo musiało niezawodnie w sposób podobny zaznaczyć się w dzieciństwie Duchinińskiej, bo obrazek ze wspomnieniem podobnych utworów wplata się niejednokrotnie w *powieści poetyczne*. Poezya ludowa przewija się jak nie złota przez te pierwsze jej utwory, i kto wie, czy wespół z obrazami natury nie stanowi w nich najsamorodniejszego, najszczerzego poezyi żywiołu... Czytanie historyczne, któremu autorka oddawać się zaczęła z chwilą osiedlenia się w Warszawie, to jest w czasie, gdy pisać i drukować rozpoczęła, zwraca ją z wolna w inną stronę. *Powieści poetyczne* mają jeszcze łunę, mają jeszcze na sobie świetlane odbicie owych reminiscencji młodych, które już giną w *Drużbackiej*. Tak tam, jak i w *Klonowiczu*, występuje już co innego: historia daje teraz myśli zajęcie szczególne. W historii tej, w dziejach ojczystych szuka kobiety—kobiety naszej i sylwetkę jej moralną kreśli w *Drużbackiej*, jak to pisze sama w przedmowie do tego utworu, któremu nie daje tytułu poematu, ale nazywa go, jak poprzednie, powieścią, ale powieścią historyczną z końca XVII w. Wzruszające dziś społeczeństwem zagadnienie, które nazwano *kwestyą kobiecą*, już i wtedy poruszało umysły, i *Drużbacka* jest też według wyznania autorki z tendencyjną myślą pisana, ale tendencja jej szerokie koła zatacza i powołaniu kobiety w społeczeństwie, w narodzie swoim bardzo wysokie, bardzo dostojne miejsce

wyznacza, przez postawiony obraz tej pierwszej znakomitszej poetki polskiej. Nie samej tu emancypacji kobiecej sprawa jest poruszona, jakkolwiek *Drużbacka* zdaje się ją przedstawiać. Nie! to wykreślenie obywatelskiego stanowiska kobiety zaprzętało umysł autorki, która się z tego w przedmowie spowiada i pisze: „Czemużby (kobieta) nie miała zasilić piersi u czystego źródła natchnienia, czemużby nie miała piórem czy słowem siał ziarna, które weszło w jej sercu? Grzeszy wprawdzie, i ciężko, gdy dla przyjętych dobrowolnie obowiązków zaniedbuje powinność, stanowiącą treść jej życia; ale przy silnej woli a wyższej zdolności można wszystkiemu uczynić zadość. Elżbieta Drużbacka dowiodła, że można być wierną żoną, troskliwą matką, a przecież wolne chwile poświęcić pracy około ukształcenia umysłu swego, oraz skierowania na korzyść bliźnich użyczonych od Boga darów“.

Wszędzie u Duchinińskiej ta myśl uczciwa, obywatelska i ogólnie ludzka: użyteczności kobiety przez jej pracę dla społeczeństwa, wszędzie wyznaczony jej ten kierunek, i przez to ruch działalności kobiecej nie nosi u niej owych cech, jakie nadawała mu wtedy Francuzka: „praw kobiety“, ale raczej są to „obowiązki kobiety“, tylko szero-ko i szlachetnie pojęte. W 1855 r., kiedy *Drużbacka* była drukowaną, jeszcze nie istniała obecna kwestya *pracy kobiet*; Duchinińska przecie ma jej instynktowne, a raczej rozumne, przeczucie, a jeżeli idzie tu u niej o pracę kobiecą w jej od-dziale moralnym—o pracę kobiecą w rozwoju duchowego życia narodu, toż potrzeba takiej pracy jest niewątpliwie dla pewnych istot kobiecych tak-kiemsamem, trudnem do przeparcia, łaknieniem moralnem, jak trudnym do przeparcia jest głód fizyczny, w imię którego czyni się dziś kobiecie miejsce w ekonomicznym rozdziale pracy. Duchinińska w dalszym ciągu wspomnianej przedmowy tak pisze: „Żdawną świat uznał, że w sercu kobiety spoczywa siła zachowawcza, odradzająca. Jak niegdyś w starożytności czyste dziewice przechowywały ogień święty, tak do dziś dnia kobieta miłością i wiarą swoją podsyca domowe ognisko, utrzymuje w rodzinie nie tradycyi; przez skromność i wstydlivość wrodzoną strzeże obyczaje od skażenia, a wlewając życie w łono nowych pokoleń, rozbudza w nich zarazem uczucie święte. Wczasie upadku lub chwilowego oblędu, gdy chłód złowrogi owiewa serca ludzkie, a uspienie ogarnia, ważniejszem jeszcze i świętszem staje się zadanie kobiety. Wówczas Bóg wlewa jej w serce siłę, oczyszcza je i uświęca, aby przechowywała się w niem iskrę gasnącego życia. Elżbieta Drużbacka była w danej chwili tem w poezyi, czem każda kobieta winna być pod wpływem podobnych warunków w obrębie domowego życia. Gdy język ulegał skażeniu, a wyjałowiony i zubożały pokrywał swą nędzę wyblakłą łaciną, jej pieśń przypominała wdzięczne a pełne barwy słowa Kochanowskich i Klonowiczów. Gdy myśl ogółu poniżona, niezdolna do wyższych polotów, krążyła koło podwoi pańskich, wylewając się potokiem słów nadętych w pochwalnych panegirykach, jej natchnienie czyste i świeże ulatuje w górę wraz ze skowronkiem, miłym zwiastunem wiosny, okrą-ża rodzinne lasy i niwy“.

„Pojmując w takim znaczeniu *Drużbacką*“ bierze ją Duchinińska za przedmiot do pieśni swojej. Szczegółów z życia poetki jest tak mało w powieści, jak mało ich jest w historii, i odpowiednio do zadania postawionego sobie przez autorkę, jest to niejako kobieta abstrakcyjna, postawiona na tle dziejowem epoki nieszczęśliwej dla narodu. Duchinińska wyraża w końcu przedmowy swojej nadzieję, że w gronie jej czytelników znajdą się tacy, którzy serdeczną jej chęć odczują. Pisze, że oddała w niej część cnotliwej polskiej niewieści, lecz razem czy nie postawiła przed cnotliwą niewiastą najszlachetniej wytkniętego toru, najwznioślejszego postawionego celu? Czy ten programat działalności kobiecej, bezmała trzydzieści lat li-czący, nie mógłby być dziś przez każdą z nas pod-pisanym, gdyby znała prawo głosowania publicz-nego dane nam w tem celu zostało?

Elżbieta Drużbacka obejmuje gruby tom w ósemce. Książka wyszła zapewne nakładem autorki, odbita w drukarni ówczesnej *Gazety codziennej*.

Powieści poetyczne tworzą także dwa tomiki w ósemce, wydane przez księgarza Rafalskiego w tymże 1855 r., ale pisane być musiały wcześniej, bo pozwolenie cenzury na druk nosi datę 1854 r., przytem znać w myśli twórczej pewien zwrot nowy, choć ideały wszystkie są zawsze i wszędzie jedne i te same—jedne i niezmiennie po dziś dzień.

(Dokończenie nastąpi).

KOBIETA W ANGLII.

(Dalszy ciąg).

Praca kobiega—to dziś przedmiot bardzo żywo zajmujący umysły — nie tylko kobiet. Co kobieta może robić, jaką może i powinna być jej praca?—jest zapytaniem, dyskutowanem obecnie jako jedno z zadań społecznych naszego wieku i M-rs Linn Linton zna ważność tego zagadnienia. Sama będąc pisarką, nie zapędza kobiety wyłącz-nie do kuchni i spiżarni; w zasadzie nie zaprze-czając kobiecie prawa do wszelkiej pracy uczci-wej, której dobrze poddać może,—stawia jednak zastrzeżenie co do praktycznego zasady tej stosowa-nia. Powtarza to, co już ze względu na wychowa-nie macierzyńskie powiedziała. Ta, która czuje w sobie powołanie wyjątkowe, nie grzeszy, gdy mu się oddaje; ale wtedy nie należy jej brać na siebie obowiązków, które stanąć-by musiały do sporu z zawodem, jaki obrać sobie zapragnęła. Trzeba jej pozostać samotną, jeżeli pragnie być siostrą miłosierdzia lub misyonarką, uczoną—pionierką, karczującą nowe drogi ludzkości. Mill to pierwszy dał taką podstawę kwestyi pracy kobiecej; matka rodziny, to powołanie tak, jak inne, to urząd spo-łeczny, to obowiązek moralny i, jak nikt nie może mieć dwóch zawodów sprzecznych ze sobą przez naturę wymagań swych rozmaitych, tak mężatka, która jest gospodynią i matką, musi, już pozostać przy tem wyczerpującem ją zadaniu. Pogląd ten, odpowiadający poważnemu pojęciu przez Angli-ków obowiązku, ustalił się też w ich społeczeństwie i stał się tam jakoby wałem ochronnym przeciw możliwym zboczeniom wyobraźni, i porywom czy dumi, czy lekkomyślności pewnych rzutkich a niespokojnych duchów kobiecych. M-rs Linn Linton stoi na gruncie zasady Milla i dotykając kwestyi pracy kobiecej pisze: „Mózg, obdarowa-nia intelektualne nie mają żadnej płci i żadnego stanu. Dla społeczeństwa nie to jest ważniej-szą rzeczą, kto pracy jakiejś dokonywa, lecz to, czy wykonana jest dobrze“. Więć też dodając, że kobieta samotna, może iść wszelką drogą na której uczciwie użyteczna być może, zwraca się do pracy kobiety zameżnej i tych panien w do-mach rodzicielskich, którym żadna konieczność nie nakazuje pracy na chleb, a z drugiej strony żaden talent wyższy, żadne obdarowanie genialne przepiętnem parciem ducha nie wyznacza im dróg jakiejs działalności szczególnej. Ogół ko-biet, u ogniska domowego żyjących, nie może po-większać zasobów rodziny przez zarobki ze źró-deł pobocznych płynące, ale każda może za po-srednictwem swej gospodarności wydatki rodzin-ne zmniejszać, a nawet często, przez gospodar-ność i obrotną czynność, dochodu zwiększone-go rodzinie tej przysparzać, działając jako po-mocnica ojca, lub męża, naprzykład w gospodar-stwie wiejskiem. Gdy kobieta w rodzinie tego nie czyni, nie tylko moralnych obowiązków swoich nie wykonywa, ale popada w stan nudów nie-znośnych dla każdej istoty ludzkiej, popada w próżniactwo i niedołężność, bo siły, każdemu człowiekowi do pracy dane, w niej nie zużyte, słabną, energia się zatracza, inteligencja, gnu-sniejąc, obniża się, a cały ten zastój wyradza cho-robę niezadowolenia, bolesnego uczucia próżni, które dręczy taką kobietę i mści się na niej za wyłamanie się z pod praw nadanych człowiekowi przez naturę jego ducha.

Człowiek który się staje próżniakiem, który czasu swego dobrze nie używa,—bardzo często używa go źle i, jeżeli nie popada w apatię, w wegetowanie, nie wie życie bez celu,—brak zajęcia popycha go na drogę błędu, nierzadko występku. Próżniak mężczyzna hula; kobietę próżniak staje się strojnica: kokieteria, pragnienie zabawy każe jej poświęcać najdroższe, najświętsze obowiązki, od czego strzegło dawniej kobiety życie spokojnej, regularnej pracy koło gospodarstwa, które wtedy uważane było za piewszą i nie dającą się wyłączyć powinność kobiecą. Nie rozwiązywał z tego obowiązku żaden stan i położenie towarzyskie: pamiętniki z różnych epok wykazują, że księżne, lordowe, panie najwyższych sfery towarzyskiej były gospodyniami, przykładającymi osobiste rękę do zarządu domu. Gospodarność uważana była za taką cnotę kobiecą, która wchodziła w zakres jej najpierwszych obowiązków i tak dodziśnia jest to zapisane w moralnym kodexie społeczeństwa. Matka rodziny, pani domowego ogniska, obowiązana jest do gospodarności, i reguła to, równie moralności, jak ekonomii społecznej dotykająca. Mężczyzna: mąż, ojciec, zbiera, zasoby gromadzi; kobieta dostaje je pod straż czujności swojej, ma sobie powierzone ich rozdawnictwo — i niedbała jest winną marnowania tak rodzinnego, jak narodowego mienia.

Czy to nie jest równość obok różności, czyż to nie jest podział pracy i gdzie tu w czynności gospodarskiej cośkolwiek mogącego poniżać kobietę, choćby najdostojniejszą przez stanowisko, choćby najpodniosłej myślącą, i dlaczego w wieku naszym gospodarność przestała być uważana przez wielką ilość kobiet za obowiązek, a gospodarny rząd domem swoim, zajęcie się majątkiem rodziny zeszło na rzecz podrzędną i niższego znaczenia? Ponieważ teraz właśnie rozpoczął się w Anglii ruch żywszy w obejmowaniu przez kobiety funkcji aptekarskich i nawet powstała świeżo w Londynie apteka składkowa, przez kobiety wzniesiona i wyłącznie kobiecymi siłami obsługiwana, a pisanie o tem dość i pisano polemicznie, M-rs Linn Linton pyta: co zaszczytniejszego jest: czy, naprzykład, jak się o to kobieta dobija, robić pigułki dla chorych, czy myśleć o pożywieniu dla zdrowych?

Angielka wykazując bardzo rozumnie nie tylko materialne korzyści gospodarności kobiecej, ale i etyczne jej przez to zdobycze: dobrobyt rodziny, zgodę, zadowolenie, wdzięczne uczucie i zdrowie jej członków, pisze: „Tak jest niewątpliwe — związek między pożywieniem (rodziny) a cnotą i myślą (gospodyni) istnieje, i to ścisły bardzo (a very close one). Im wcześniej pozna to żona, tem lepiej dla niej i dla męża“. Co to jest nieraz ten pokarm, który spracowany mąż i rosnące dziecko dostaje tam, gdzie żona nie zajmuje się gospodarstwem? Czy to nieraz nie zatrawa, czy to przez niedostateczną pożywność, przez niedobry wybór odpowiednich przedmiotów pożywienia, nie podkopuje organizmów, nie ruinuje sił, nie otwiera drogi nieszczęściu? M-rs Linn Linton surowo to sądzi i pisze: „Wiele rzeczy uważa się za zbrodnie, choć w rzeczywistości nie tak one są złymi, jak ta niedbałość: a przecież jakże rzadko znaleźć dziś dom, którego pani dogląda starannie, jakim jest pożywienie rodziny: — dom, w którym delikatne ręce i wykształcony mózg oddane są czynnie pracy dla dobrobytu rodziny! Mało jest w tym kierunku uzdolnienia i energii, mało poczucia się do powinności“.

„Przy takim ognisku domowym, gdzie kobieta nie gardzi gospodarstwem, a szczególnie gdzie nie gardzi specjalnie dozorem kuchni, tam z pewnością znajduje się zadowolenie i wesołość. Zdawać-by się mogło, że życie praktycznie gospodarującej kobiety odpowiada potrzebom niewieściej natury, — tak dobre gospodynie bywają wogóle przyjemnie i dobrego humoru. Może to sprawia głos sumienia, wpływający z uczucia wypełnionego obowiązku, co cudownie (wonderful) dodaje słodczy charakterowi, może to ruch czynny, utrzymujący dobrze organizm — w każdym razie, czy to działa jedna z tych przyczyn, czy obie razem, dość, że tak gospodynie czynnie pracowały, jak jej dom, mają w sobie jakąś miłą harmonią, nieznaną gdzie indziej“. Autorka angielska dodaje, że

nie ma nic śmieszniejszego nad kobietę średniej zamożności, która z książką, lub wytworną robotką w ręku, siedzi nieraz w źle sprzątniętym pokoju i opowiada o tem: jak ona rządzi służbą przez rozkazy tak, lub inaczej wydawane. Umiejętność rozkazywania, kierowania pracą służby, jest niewątpliwie ważną w gospodynie, bo to stanowi o dobrej organizacji ruchu gospodarczego, ale nie zawsze i nie w każdym położeniu może to istnieć w rozmiarach jednakowych. Gdzie zamożność jest średnia, gdzie zatem bez naruszenia budżetu służba nie może być liczną, tam gospodyni powinna dawać gospodarstwu coś więcej jeszcze nad rozkaz, nad kierunek. I ona i córka młoda, skoro jest w domu — powinny przyłożyć do jego utrzymania coś pracy własnoręcznej, zajęcia osobistego — fizycznego trudu, któryby częścią pewną roboty gospodarczej na siebie brał, służbie pomagając, aby przeciążona nie stawała się z konieczności niedbałą, aby mógł w domu istnieć ład należyty, porządek, wygoda jego członków. Nie czynność taka — dobra, uczciwa, pracowita czynność poniża i wstydzi, ale niedobry porządek: kurz, brud, zniechęcona służba, gniewna z tego powodu pani, i mąż smutny, dziecko zaniedbane. Czy to nie cel godny, aby rozumna go zrozumieć, a dobra osiągnąć zapragnęła? Czy wreszcie jej mąż w biurze, w kantorze, na polu lub wśród gumna nie pracuje osobiście, czy nad tą pracą czoło jego nie unosi się nieraz? Z chwilą, gdy kobieta zażądała — i słusznie — równości, głębiej jeszcze godzi jej się to pojąć.

Z drugiego jeszcze względu, kobieta średnio-zamożna nie może jedynie przez rozkazy gospodarstwa prowadzić. Bogata może mieć, nie tylko służbę liczniejszą, ale przy droższej zapłacie wyższej do pracy swej uzdolnioną: lepszą kucharkę, umiejętniejszą pokojówkę — mniej proste, więcej wykształcone osobistości, które rozkaz lepiej zrozumieć, powinność wykonania lepiej uczuć umięją. To też kończy Mrs Linn Linton tem, że gdy średnio-zamożna kobieta mówi jej o trybie gospodarstwa, niezabierającego pani dom więcej nad godzinę czasu dziennie, to podejrzewa zawsze, że na sprzętach tej pani leży kurz, że jej mąż jada niesmaczne obiady, dzieci mają źle upraną bieliznę, że rodzinie brak wygody i koniecznych warunków zdrowotności.

Ale na korzyść czego taka gospodyni domu lub jej córka czas swój oszczędza w ten sposób? Jakaż to sfera pracy wyższej, korzystniejszej przyzywa je dla siebie? Czy to nie będzie czasem fryzowanie się całogodzinne, czytanie lichych powieści, spacer dla ruchu, którego byłoby aż nadto przy pracy gospodarczej, odwiedziny przyjęte lub oddawane? Ale to zabawniejsze, to lżejsze, to więcej sztykowi eleganckiej damy odpowiada. Autorka angielska dowodzi — i powtórnie muszę przyznać jej słuszność — że niedbała, obojętna gospodyni to z konieczności kobieta zimna i próżna — to egoistka! Robi to, co woli, nie troszcząc się o innych. Że jej mąż pracuje, a ona nie — to cóż wielkiego? Że jej dzieciom niezawszę dobrze, że nie zbierze się dla nich żaden grosz oszczędności — nie obchodzi ją to zbyt dotkliwie. Jakiż? czyby ona miała dlatego zejść do roli służki, czyby się miała męczyć i zużywać w plugu pracy, odmawiać sobie należnych jej przyjemności? Dawny, surowiej pojęty tryb życia kobiecego, sprawował nad nią rząd lepszy i z tego już względu, że obowiązki gospodarce zpod których wtedy rzadko która śmiała się wyłamywać, grodziły dziś próżniactwem od wielu pokus, rodzących się z próżniactwa. Kokieteria z jej skutkami — to także grzech niezajętej.

Istnieje przecież pewien gatunek kobiet, które nie mogą być dobrymi matkami rodzin, naczelniczkami ognisk domowych, nietyłe przez wady swoje, ile przez brak pewnych przymiotów. Są kobiety, które nie mają złego serca, bo nie mają żadnego serca, nie rozumują błędnie, gdyż nie rozumują wcale — kobiety lalki. Ładne, na oko dość miłe, czasem nawet, zwłaszcza gdy młode, wdzięczne, ale tylko w pewnym oddaleniu, w perspektywie i świetle odpowiedniem. Kto się ożeni z lalką, pokochawszy się w niej dlatego, że biała i różowa, przytem zręczna i niby-to mająca pozór miłej kobiecości, niech sobie powie natychmiast,

że jego szczęście przepadło. Między nim i tem ładnem cackiem nie może być innego stosunku, jak między człowiekiem a lalką. To nie towarzyska, któraby mogła zrozumieć i odczuć jakieś życia troski, niepokoje, trwogi lub nadzieje przyszłości; żadna myśl głębsza, żadne nowe rzeczy pojęcie nie może być wprowadzonym w jej umysł. Możesz się unosić na nią gniewem, możesz z prośbą namiętną do niej padać, ona, albo się będzie dziwić czego chcesz od niej? albo zacznie płakać, sądząc że zamierzyłeś sobie dręczyć ją. Mąż lalki musi się o wszystko dla niej i rodziny troszczyć, musi ją rządzić, bo inaczej podpadnie pod rządy sług, na których zwykle polega w zupełności, nie z braku chęci dobrych i nie z lenistwa nawet, ale przez nieudolność. Nie umie myśleć, jak nie umie czuć — przewidywać coś, przypuszczać, brać miarę z istot ludzkich lub wypadków, nie potrafi nigdy. Kiedy cierpienie spadnie na nią, nie może również zrozumieć, jak to się stać mogło, jak Bóg mógł tego dopuścić i jest wobec nieszczęścia bezbronny. Upada nieraz grzesznie bez złej woli i namiętności; często zdaje się być dobrą i kochać, bez tkliwości jednak i dobroci, bo zawsze ulega tylko i oddaje wrażenia doznane, jak zwierciadło.

Lecz jeżeli kobieta lalka w położeniu dostatkiem jest jakgdyby omyłką natury, to przy braku zamożności staje się klęską i nieszczęściem bezdenne dla tych, z którymi życie dzieli. Lalka lubi ładne gałganki i wogóle rzeczy dziecinne; wyda pieniądze na cukierki, gdy ich może braknąć na chleb, kupi wstążkę, a nie będzie mieć ciepłego okrycia, będzie czytać „interessującą“ powieść, gdy dziecko jej zabrudzone i bez północzek będzie się koło niej płatać płacząc, i przyzywać miłosierdzia ludzkiego, aby je umyło. Bez własnowolna i nieczynna, może jednak stanąć innym na drodze do działania w sposób przyprowadzający do rozpacz. Nie ruszy się z miejsca, jeżeli jej w niem dobrze, popełniła naprzód, staje zaraz skoro działaniu siły wywartej ustanie; podniesiona, siada i musisz ją prowadzić na pasku, albo wziąć na ręce, bo zacznie płakać, gdy się zmęczy. Co to jest ofiara, gorące uderzenie serca, wysiłek woli? — nie wie nawet. Lalka, owdowiawszy, może pójść za mąż raz drugi, skoro tylko konwenans pozwoli, bez żadnego grzechu, bo czyż ona rozumie, co to jest wierność? Popłakała — bez udawania, gdy jej dawali brzydką krepe czarną i zrobiła też tę uwagę, że jest brzydką. Ale gdy raz ją zdjęła, to dlaczegożby nie miała włożyć ślubnego stroju? Cóżby robiła w życiu sama?

Lalki, zdaniem Mrs Linn Linton, wyrabiają się skutkiem dzisiejszego systematu wychowania dzieci: cukierki, które mi pasą, coraz nowe zabawki, których mają bez miary, jedwabne sukienki, błyszczące safianowe buciki, bale, na których dziesięcioletnie dziewczynki, kłaniając się dwunastoletnim chłopczykom, tańczą z gracyą kontredanse — wszystko to, bez ogrzaną im serca tkliwością macierzyńskiego wychowania, które zastępuje wychowanie bony, tworzy układne lalki z nierozwiniętym mózgiem, z nierozbudzonym w piersiach sercem. Żywsze, bystrzejsze, sprytniejsze dziewczynki chowają się w takiej szkole na zalotne, śmiałe, przedsiębiorcze osobki, które też nikogo nie kochają, nikogo nie słuchają, nie bawią się w skromność, w czułość, w poezję. Mniej lotne, tępszej myśli i uczucia, stają się lalkami.

Które lepsze? Trudno wyrokować. Tamte mają reprezentować postęp, te trzymają się więcej dawnego typu, nie pragną wyjść poza ubitą ścieżkę i zdaleka też, bardzo zdaleka, są podobniejsze do obrazu kobiety, jaki sobie tworzymy w wyobraźni. Ale nie — bo kobiecość to nie znaczy nic, bezwładność, bezradność, brak rozumu i konsekwencji. Co jest kobiecość — Angielka nam to opowiada w bardzo piękny i szlachetny sposób.

(Dok. czenie nastąpi).

Witostaw Halek.

I.

STANOWISKO POETY

(Z pieśni wieczornych).

Błogosławiony, kogo Pan
 Pomazał na pieśniarza!
 Jemu do nieba przystęp dan —
 W pierś chłopka i cesarza.

W duszy mu hymn wszechświata gra,
 Brzmi śpiew, co śpiewa ptasze;
 On wszystkie drgienia serca zna,
 Łzy i radości nasze.

Co przed innymi ukrył Bóg,
 Jemu dał — Pan nad Pany,
 On przewodnikiem bożych sług
 Do ziemi obiecanej.

On ludów wszystkich król i pan
 Po nieskończone czasy,
 Bo w sercu mu skarb wielki dan,
 Niewysłowionej krasy.

Miriam.

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Ktoby go słuchał malującego świat własny i to, czem był otoczony, wzięłby go niewątpliwie za najsurowszego cenzora, za Katona — ale w życiu Wojtek dla siebie i drugich wielkie czynił ustępstwa.

Ożeniwszy się z miłości dla ślicznej żony, po której nie wziął ani złamanego szeląga, Wierzbęta, od lat trzech szczęśliwy, siedział w domu i o całym zapominał świecie.

Majątku po rodzicach odziedziczonego, choć w młodości żył niezbyt oszczędzając, nie nadwreżył wiele, nie zrobił długów znacznych — i było mu na świecie dobrze.

Drugą już córeczkę nosił na rękach i pieścił. Wciągu tych lat trzech utył, odrobinę wyłysiał, ale był jeszcze bardzo pięknym mężczyzną, — tak jak jego Terenia śliczną jeszcze kobieciną.

Makolągwa Wierzbęty podobna była do tysięcy innych dworów zamożnych u nas, a że pani miała wiele smaku, wesoło więc było i ładniechno w tem wiejskim zaciszu.

Na pana nie chorował Wojtuś, był po szlachecku demokratą; ale dostatek w domu musiał być zawsze — i pewna elegancja nawet.

Po powrocie z oficyny pierwszą rzeczą, o której przemówił Sylwan do panny Michaliny, była radość, jaką miał z sąsiedztwa Wierzbęty.

— Od tych panów trudno mi się było czego dowiedzieć — rzekł — ale Wierzbęta jest moim przyjacielem od młodych lat, a sąsiadem Zaborowa. Na niego rachuję, że mi pomoże, objaśni... i... znają panie Wierzbęty?

Misia go widywała rzadko i krótko; wydał się jej nieco płochym; lecz pochwały Sylwana starczyły, aby go podnieść w jej oczach.

— Zaraz jutro jadę do Makolągwy — odezwał

się Horpiński — Z kochanym Wojtkiem narada dla mnie jest ważną.

Niepodobna, aby, mieszkając tak blisko, prawdopodobnie żyjąc ze ś. p. Pruszczycem, nie mógł mnie w wielu rzeczach objaśnić.

Zawierska zmilczała: i ona zamało знаła tego sąsiada, aby się o nim mogła z pewnością wyrazić: czy mógł się teraz przydać na co...

— Dobry i zacny człowiek — odezwała się — Pruszczyce, i wszyscy go tu chwalili; nie sądzę jednak, by się z nim radzić można, gdyż — lekko zawsze brał wszystko.

— Ja go znam dawniej i lepiej — odparł Sylwan. — Ma on pozór człowieka lekkomyślnego, ale sąd zdrowy, serce dobre, charakter szlachetny. Być może, iż trochę za pochlebnie go sądzę, bom go kochał i kocham jak brata... jakkolwiek bądź — widzieć się z nim muszę.

Trochę później Horpiński wziął na stronę p. Michalinę.

— Nie dowiedziałem się wiele — szepnął jej — lecz to, co mi mecenas powiedział, starczy, abym mógł panią uspokoić. Jeżeli nie więcej wynoszą ciężary pilno wymagające spłacenia, nad to, co mi mówił p. Pawłomorski — znajdziemy kredyt i zapobieżymy katastrofie.

Potrzeba jednak będzie kogoś, coby po tem objął zarząd majątków i gospodarował rozumnie, umiejętnie i uczciwie.

P. Michalina popatrzyła mu w oczy.

— Czy i kogoś takiego znaleźć się pan spodziewasz? — zapytała.

— Dla czegoż-by nie? — odparł Horpiński. — Mój Wojtek przyjdzie nam w pomoc będzie musiał.

Długo jeszcze wieczorem trwała rozmowa, którą Misia i Sylwan starali się sprowadzić na obojętne przedmioty, a biedna Zawierska mimowoli zwracała na to, co ją dolegało. Obojgu im nie udało się rozweselić jej. Sylwan się pożegnał, bo rano chciał jechać do Makolągwy, gdzie spodziewał się światła dostać — a radość widzenia Wojtka orzeźwiła go trochę.

Wojtek siedział w ganku; na kolanach, jak zwykle przez pół dnia, trzymał swą towarzyszkę Emilę, która go za wasy nielitościwie ciągnęła; nianka stała naprzeciw niego, śmiejąc się, a dalej trochę piękna Terenia na krześle z kołyską leżąc, przerzucała dziennik mój i spoglądała z uśmiechem na męża i dziecko.

Był to wcale ładny obrazek rodzajowy, choć takie szczęście spokojne, oświecone łagodnymi promieniami, trochę w półcieniu, na tle szlacheckiego dworu — nie skusiłoby malarza. Sam Wojtek był typem pięknym, ale zbyt pospolitym; pani miała twarzyczkę ładną, ale bez wielkiego wyrazu.

I taka cisza wiejska otaczała tę scenę z życia powszedniego — kroplę złością w czarze krótkiego szczęścia ludzkiego.

Wojtek, który się bawił z Emilką, choć cały nią był zajęty, pierwszy postrzegł na grobli ku dworowi idącej szybko się posuwającej powóz.

Po siwych koniach, których Pruszczyce używał, poznał zaraz, że ktoś jechać musiał z Zaborowa.

Pani, ubrana podomowemu, natychmiast uciekła... Emilę, trochę się opierając, ucałował, musiał oddać Wierzbęcie niance, która z nią w głąb domu pierzchnęła.

Powóz się zbliżał; Wojtek dosyć kwaśno rozważał: kto to być może?

Dostrzegł zdala mężczyznę, ale go nie poznał.

Horpiński już był na wschodkach ganku i witał uśmiechem gospodarza, gdy ten dopiero go sobie przypomniał i poskoczył, wykrzykując:

— Jak Boga kocham... Sylwan! Konmi z Zaborowa?..

— Jak widzisz...

Uścisknęli się serdecznie. Wierzbęta nie mógł zrozumieć jeszcze, ani jak się tu znalazł ten przyjaciel, ani dlaczego jechał do Zawierskich.

Poszli razem do pokoju Wojtka. Tu powoli wszystko się tłumaczyło poczęło i wyjaśniać.

— Przyjeżdżam do ciebie po światło — rzekł Sylwan — Zawierskich ratować potrzeba, a tam

nikt, ani one same, ani ci, których do tego powołano, nie znają stanu interesów.

— Myślisz, że ja wiem co więcej? — odparł Wojtek. — Ś. p. Pruszczyce był, jak my wszyscy; doskonały człowiek, rozumny, poczciwy, lecz czego się dotknął, to popsuł. Żudził się sam, panie te trzymał w błędzie — i — koniec przyszedł smutny.

— Nie podobna, aby nie było ratunku!

— Jedyny ten, żeby p. Michalinę wydać za bogatego człowieka — rzekł Wojtek.

— I uczynić z niej ofiarę — dla kogo i dla czego? — rzekł Horpiński.

Wierzbęta popatrzył na niego.

— Napierw — spytał — kochasz się w niej?... chcesz się żenić?.. mów?

— Żenić się ani mogę ani myślę; znasz położenie moje — rzekł z powagą Sylwan. — Nie kocham się — ale szanuję pannę Michalinę, bo takich kobiet niewiele jest na świecie. O mnie tu mowy niema.

Ja się nigdy i nigdzie nie liczę; jestem wszędzie: młódką.

— Daj pokój — przerwał Wierzbęta — i pocałował go w czoło. — Znamy się dobrze i dawno.

— Mam dla tych kobiet wielką, serdeczną przyjaźń — ciągnął dalej Horpiński. — Nie znając mnie, przyjmowałyby życzliwie w domu, znalazłem u nich uprzejmość serdeczną. Nauczyłem się cenić pannę i — radbym, ile mi siły dozwolą — ratować ją i matkę.

Rachuję na ciebie, że mi pomożesz.

— Sylwanie kochany — ja nie wiem, czy największymi ofiarami jest tu co do zrobienia. Wszyscy powiadają, że ruina jest nieuniknioną.

Sylwan nie dał mówić przyjacielowi, uśmiechnął się — i poczęli przypominać sobie owe dobre czasy, gdy razem, częścią pieszo, częścią weturynem, z Bochenkiem wędrowali po Włoszech, wstępując do małych miasteczek i kościółków po drodze, śniadając i wieczorując po nędznych albergach, w których często nic nad kwaśne wino, suchy chleb i twardy kawałek sera nie było.

Wojtkowi na sercu leżało, co najprędzej się swoim szczęściem pochwalić przed przyjacielem, pokazać mu śliczną Terenię i faworytkę Emilkę.

Pobiegł więc uprzedzić żonę o tem, jakiego miał gościa w domu, o którym, nie raz, ale tysiące razy, już jej opowiadał. Z tych wspomnień męża znała go pani — i ciekawą była zobaczyć.

Smutno to przyznać, ale widok takiego szczęścia domowego, jakim się napawał Wojtek, na ludziach z niego wydziedziczonych, czyni prawie zawsze bolesne wrażenie. Człowiek mówi sobie mimowoli: Dlaczego ja tego nigdy osiągnąć nie potrafię?

Sylwan oprócz tego był pogrzebiony troską o los Michaliny i jej matki: wydał się więc pani Teresie ponurym i prawie strasznym.

W głosie jego i wyrazach malował się nienormalny stan wzburzonej duszy. Terenia, którą Wojtek ubóstwiał, wydała się mu zimną, dumną, niesympatyczną.

Sam nawet przyjaciel Wierzbęty — jakże zmienionym był w jego oczach, i nie na korzyść swojej! Spowszedniał, umysłowo się nie podniósł, ale zaniedbał; to, co go dawniej żywo zajmowało, dziś się stało obojętnem. Był sam szczęśliwy i nie żądał już nic więcej.

Po obiedzie obaj starzy przyjaciele poszli na nową naradę do ogrodowej altany. Wojtek trochę się otrząsł ze swego lenistwa — i żywiej począł mówić o interesach... Zawierskich.

— Powinieneś mi pomóc — odezwał się w końcu Horpiński. — Poczciwem kłamstwem trzeba pomóc tym biednym kobietom. Michalina zasługuje na to.

Ja nie potrzebuję do życia wiele i żadnej przed sobą nie mam przyszłości, mogę więc bez żalu poświęcić to, co mam, aby komuś szczęście zapewnić. Mówiono mi, że czterokroć sto tysięcy złotych mogłoby dźwignąć interesa; ja je dam — ale potrzeba, aby one nie wiedziały, że pochodzą odemnie.

Wojtek się zadumał.

— Cóż tobie pozostanie? — zapytał.

— Zostanie mi tyle, że na życie proste i nie wymagające, starczy — odparł Sylwan. — Zresztą, pieniądze ułożowane na Zaborowie, nie będą cał-

kowie stracone; tylko ja się z pewnością ani o kapitał, ani o procenta upominać nie będę.

Cały fundusz mam gotowy w papierach. Ode mnie-by go nie przyjęto; od ciebie, od kogoś obcego — nie podejrzewając łaski — wezmą.

— A jeśli się interessa skomplikują, i twój fundusz przepadnie? — zapytał Wojtek.

— Na to jestem przygotowanym — rzekł zimno Horpiński. Dla mojej matki i dla mnie starczy to, co nam pozostanie. Żenić się nie myślę.

Spuścił głowę i zamilkł.

Wierzbietę chodź zamyślony po pokoju.

— Mów co chcesz — odezwał się żywo — ty się kochasz w Michalinie. Takich ofiar heroicznych nikt nie czyni, kogo bardzo gorące uczucie do tego nie skłoni.

— Patrz na moje siwiejące włosy — odparł z gorzkim półśmiechem Sylwan — nie pora mi marzyć o miłości, ale jestem do niej przywiązany. Szanuję ją — i widzę wyższą istotę...

— Dlaczegoż-bys się z nią nie żenił? — wtrącił Wojtek.

Horpiński parsknął bolesnym śmiechem.

— Ty jeden znasz położenie moje. Nie mam imienia, nie mam ojca — muszę się wstydzić pochodzenia. Choć biedny mój rodzic podrobił mi jakieś szlachectwo i genealogię, nigdy na kłamstwie takim życia i przyszłości oprzeć-bym nie zdołał. Ożenienie się jest, jak widzisz — niepodobieństwem, i ja o niem nie myślałem nigdy. Nie mów nawet o tem. Po długich rozprawach, zaklinając i prosząc o to Wierzbietę, wymógł na nim Sylwan, że w kilka dni miał przybyć do Zaborowa i zaofiarować paniom pożyczkę dla spłacenia długów, na najdogodniejszych warunkach. Imię obce jakieś miało pośredniczyć a dla Sylwana tylko prywatne zapewnienie długu jego starczyło.

Gdy Wojtek go pytał: co robi z sobą, przyznał mu się Horpiński, że chce z matką razem przenieść się napowrót na Ukrainę, przywdziać sukmanę i powrócić do tego stanu, do którego — jak mówił — był stworzonym.

— Ty się na śmierć zamęczysz! — wołał Wojtek.

— Nie — rzekł Sylwan stanowczo — Z dobrej woli tylko, sympatycznie będę dziczeć, zabiję w sobie myśl, zgłuszę ducha. Zdrętwieję, sztucznie się starając o to... Życie moje na nic się nie zdało nikomu, mnie cięży; samobójstwo jest mi wstrętliwie.

— A chcesz je spełnić powolnie! — przerwał Wierzbietę. Cóż innego nad nie zamierzasz?

Na to Horpiński nie odpowiedział...

Wieczorem znowu myślał i wspomnieniami błędził po Włoszech; przypominali sobie pocziwego Bochenka — i Terenia, ramionami poruszając, słuchała tych opowiadań, które się jej nie wydawały wcale zajmującymi, a męża tak szczęśliwym czyniły. Była zazdrośna.

Trzeciego dnia dopiero wrócił do Zaborowa Sylwan, ułożywszy, co miał mówić i jak pannę Michalinę uspokoić w ten sposób, aby podstępnie się nie domyśliła.

— Podróż moja nie była bezowocną — rzekł, przywitawszy się z nią. — Powracam z nadzieją najlepszą. Mój pocziwy Wojtek zaprzysięga, że znajdzie potrzebne pieniądze na bardzo łagodnych warunkach. Długi zostaną spłacone; ułożymy programatną przyszłość taki, aby paniom spokój zapewnił, do zbyt wielkich ofiar ich nie zmuszając. Zaborowa nie trzeba się będzie wyrzekać.

Misia słuchała, zarumieniona, z radością, nie dowierzając uszom.

— I to wszystko winne będziemy panu! — zawołała.

— A! nie — przerwał żywo broniąc się Sylwan — pocziwemu Wojtkowi.

— Nie umiem panu wyrazić całej mojej wdzięczności — odparła głosem wzruszonym p. Michalina, wyciągając rękę ku niemu. — Wierz mi pan, nie idzie mi o mnie, ale o kochaną matkę, o oszczędzenie jej troski na starość!

Ja potrafiłabym się obejść małym...

Gdy pani Zawierska nadeszła z tą twarzą smutną a upokorzoną, która litość obudzała — Misia i Horpiński pośpieszyli zwiastować jej dobrą nowinę.

Dlaczego przestraszona już matka okazała się niedowierzającą i nie dała się uspokoić — trudno

pojąć było. Cios, który ją dotknął niespodzianie, uczynił lękliwą i nieufną.

Dziękowała półgębkiem Horpińskiemu, lecz widać było, że słowem jego nie dawała wiary — i niepokój ją ogarnął.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Właściciel kuźnic (Le maître de forges), sztuka w 5-ciu aktach, Jerzego Ohnet'a; tłómaczył z francuzkiego Arvin-Zieliński.

Drugą już sztukę Ohnet'a przyswaja sobie scena nasza. Są to nabytki bardzo dobre. Czy sztuki te powstały jako przerobienia z romansów, czy też jako dzieła bezpośrednio dla sceny wytworzone; czy autor ich jest lub będzie kiedykolwiek wielkim, czy nie? to nas tutaj zajmować i na sąd nasz wpływać nie może: sztuki Ohnet'a są dobre, bo uczciwe i zajmujące. Wydała je siła jedyna, zdrowa, niezarażona sceptycyzmem moralnym, mająca w sobie zdolność i odwagę do rozróżniania złego od dobrego, niezamieniająca człowieka w nieodpowiedzialny twór natury, w kłębek nerwowy, którego autor, zazwyczaj sam rozplatać nie mogąc, dyabłu do rozplątania go podaje. Obie sztuki Ohnet'a: *Cudzoziemca* i *Właściciela kuźni*, owiewa atmosfera prawa i obowiązku, panuje nad niemi miłość ideału, nie cikliwa, nie wylewająca łez, ale mężka, dobitna, niedwuznaczna, faktami samemi tłómacząca się. Przytem Ohnet, jak większa część Francuzów, odczuwa życie: ludzie jego nie są manekinami, ale przy najgrubszych nawet zarysach rzeczywistymi ludźmi. Przeciwno istotom bez serca i bez moralności, przeciwko tym zimnym, wypalonym wulkanom, które dają w namiętnościach swoich tylko złudzenie ognia, całą treść swoją zamykając w bezwiednych popędach zamienionych w namiętności; przeciwko tym czczym retorum, tym młodziom mądrym, nie przez życie, ale przez użycie, tym damom deklamującym o prawach kobiety, po zgwałceniu wszystkich kobiety obowiązków: przeciwko tej całej galerii figur wyprowadzonych przez Dumasa syna i jego kłikę — Ohnet stawia charaktery rdzenie uczciwe, poruszające się na osi niemalowanej, głęboko odczuwanej cnoty, daje całym warstwom narodu przedstawicieli uczniających ideę pracy, samodzielności i nieposzlakowanej czystości moralnej. A przytem wszystkim niema ani cienia deklamacji, moralizowania. Autor, choć nie dramaturg pierwszj wody, umie charaktery swoje tragicznie zagłębiać, naprężyć i rozewniać, zapala i unosi; a choć go dotyka jeszcze francuzka zaraza efektomanii, w dziełach jego wszakże celem głównym jest, nie wywołanie efektu, ale przedstawienie serca ludzkiego w jego niezgłębionej nigdy prawdzie. Kto tych zasług Ohnet'a nie uznaje, kto w nim nie ceni jego moralności i jego poetycznego polotu, jego idealistycznego ludzenia się *człowiekiem*, — ludzenia się, bez którego nie ma w ogóle sztuki, a więc i sztuki dramatycznej — kto go z powodu mniejszej świetności stylu i pewnego zaniedbania w rysunku charakterów, pewnej grubości zarysów, za drugorzędnego pisarza uważa, — ten daje *testimonium paupertatis*, zaiste, nie jemu, ale własnemu swemu sądowi.

Co wartość Ohnet'a, dla Francuzów zwłaszcza, podwyższa, to przeniesienie ośrodka życiowego, w którym mają się wypadki sztuki rozgrywać, ze świata arystokratycznego, z pół i ćwierć-swiata, w świat nowy, mieszczański, który aż do zapowiedzianego przez Gambettę *avènement des nouvelles couches sociales* powinien odgrywać rolę rdzenia pacierzowego w republikańskiej organizacji dzisiejszej Francji. Długo jeszcze czekać będą musieli synowie Galii na tych chłopów, którzyby, według ideału dzisiejszego pierwszego ministra Ferry'ego, wziąć mogli na swe barki Rzeczpospolitą; ale wytworzenie dla istniejącego dziś państwa podwaliny z oświeconego, zamożnego, uczciwą pracą zdobywającego sobie stanowisko i uczciwym postępowaniem trzymającego się

na niem mieszczaństwa — nie tylko nie jest mrzonką, ale powinno być i musi być rzeczywistością, jeżeli Rzeczpospolita za lat kilka nie ma się w grób położyć. To właśnie wysuwanie mieszczaństwa na czoło narodu dostrzegamy w obu sztukach Ohnet'a, scenie naszej przyszwojonych. Jak w *Cudzoziemcu* p. Desvarennes, tak tu p. Derblay panuje nad całym położeniem; jak tam, tak tu energia i prawda mieszczańska zapewnia szczęście ludzkie, wymiata złe wkradające się z zewnątrz. W obu sztukach arystokracja występuje przez niegodziwców swoich; jądro tej warstwy, która z pracy rąk swoich powstaje, jądro mieszczaństwa, z błędów i słabości, w wściekłości i zapalów wszystkich — nienaruszonym wychodzi. Ohnet lepiej niż Zola, lepiej niż Alfons Daudet, jest, jako pisarz, dziećciem Rzeczypospolitej: onago wydała, choć w sztukach jego nie odbiera hołdów, choć jako polityczna potęga wcale się w nich nie odbija. Nie to nie znaczy, że córka bogatej mieszcżki leci sama w paszczę potwora Roccanery, że Moulinet przeciwstawia się Derblayowi: w pierwszej sztuce zabicie tchórza przez matkę zbłąkaną, w drugiej wyświecenie Athenaïs ze świata mieszczańskiego i upodlenie księcia de Bligny, — ocalają sprawę tych, którym się zwycięztwo należy.

Nie ma w tych sztukach Ohnetowskich właściwej walki dwóch światów, — nie podobnego do tego, co Feuillet, w glansowanych swoich rękawiczkach i ze wszystkimi żabotami grzeczności, dać usiłował w swojej *La belle au bois dormant*. Dla Ohnet'a ta walka należeć już musi do przeszłości, skoro jedna ze stron już ze zwycięztwa korzysta. Wdzięczną też i pociągającą stroną sztuk, o których mówimy, jest usunięcie niedorzecznej czci bogactwa i szyku, jaką autorowie francuzcy widzą swoim narzucają, częstokroć może wskutek bezwiednego tylko nawyku. Czas już zostawić szysk dla głupców, a zająć się człowiekiem.

Człowieka Ohnet maluje realistycznie; ale ten realizm jest czysto artystycznym, prawowitym, — nie ma nic wspólnego z rozpazaniem naturalizmu. Służy on autorowi tylko do tego, żeby malowidła nie były mdłymi pastelami, żeby ludzie nie byli z eterów, ale istotami z krwi i z kości. Realizm Ohnet'a wynika tylko z poczucia ruchu psychologicznego w człowieku, jest realizmem dla sztuki prawdziwie przedmiotowej, samostnej, niezbędny: bez takiego realizmu nie byłoby i życia.

Powiadacie, że mieszczaństwo jest małe i niezdolne do szlachetności?... Jak jakie. Spójrzcie na Filipa Derblay. Najszlachetniejszy to z ludzi. Miłość własną kobiety, którą kocha i która mu rękę swą, bez serca jeszcze, oddała, uszanował z delikatnością, na jaką tylko najrzowniejsza miłość zdobyć się może. Kiedy chłód jej straszliwy odepchnął go, czuwa nad nią, jak najlepsza matka, myśli o każdej jej potrzebie, o każdej przyjemności, przyjmuje na siebie odpowiedzialność, za jej postępek i życie za nią oddaje; skazawszy ją na odrącenie, skazuje samego siebie na mękę. Ale z drugiej strony, czując przekleństwo położenia, które sam utrwalił, nie zważa na jej lzy i zakłęcia; jak skała twardy i niewzruszony, odrąca nieszczęśliwą kobietę, nawet w ostatniej chwili życia; niemiłosiernie burzy spokój dwojga serc młodych, których szczęście celem jego być powinno — a czyni to wszystko, opanowany przez szataną gniewu, niewiary i podejrzenia, które tem silniej chłostać go musiały, im dusza jego w istocie swej czystsza i do czci miłosnej skłonnejsza była. Jest to charakter nawskroś tragiczny, silnie czujący, głęboki, niezdolny przesliznąć się przez ziemię, przepłynąć po wierzechu fali, ale nurzający w niej, z całą szczerością natur prawych a bujnych. Jego nieszczęśliwa żona Klara jest przeciwstawieniem córki mieszczańskiej z *Cudzoziemca*. Tamta, jakby zaczarowana, leciała do zguby i doostatka grzeszną objawiała słabość dla awanturnika z wielkiego świata; — ta umiała w jednej chwili odwrócić się od podobnego mu przemysłowca, księcia de Bligny i przez wielką, ale prawowitą dumę przyjąć rękę człowieka z innej zupełnej sfery — z którą połączenie się równi jej musieli za *mésalliance* uważać. Ta duma jej, rodzająca etyczną nieśmiałość wobec męża, była sprawczynią jej nieszczęścia, w daleko wyższym stopniu niż nie-

rozsądek Derblaya, który, gdyby się był rozsądkiem powodował, musiałby widzieć, iż tak nagłe nawrócenie się ku niemu panny de Beaulieu musi być darem ukrywającym w sobie węże niebezpieczeństw.

Pomiędzy dwiema temi osobami zamyka się główna dramatyczność sztuki. Więcej już za pobudkę, niż za uzupełnienie jej, służy działanie odgrywane się pomiędzy Atenais a Filipem i pomiędzy księciem de Bligny, dawnym narzeczonym, a Klarą. Atenais chce zdobyć Filipa dla siebie, księżę de Bligny chciałby poromansować trochę z dawną narzeczoną. Pierwszy motyw obudza zazdrość i potęguje miłość w duszy Klary; drugi daje jej sposobność do napiętnowania niegodziwca, który ją porzucił. Wszystko przyczynia się do rozkwitu serca dziewiczego w kwiat pięknego uczucia. Przypadkowa rana Klary łamie dumę Filipa. Będzie, zaprawdę, szczęśliwym oile tylko szczęście jest w mocy serc ludzkich, to małżeństwo, w którym dopiero przez nieszczęścia i walkę wyrobiła się miłość wzajemna!

Obok szlachetnego Derblay'a—aby pokazać, że epoka przejściowa jeszcze się nie skończyła, że zresztą zle zawsze być musi,—postawił Ohnet małego Moulineta i jego podłą córkę, naturę zmijowatą, która od dziecka już zazdrościła szczęściu arystokracji i przez zazdrość najpierw wydarła swej koleżance, Klarze, narzeczonego, a później pragnie jej wydrzeć męża. Motyw ten nie jest w dramacie dostatecznie rozwinięty. Moulinet jest pyszną postacią małego, cheiwego, nadyającego się milionami swemi filistra.

Sztuka w pierwszym akcie kończy się tak, jakby już czterech następnych mieć nie miała. Zakończenie to, nadzwyczaj ożywione, niespodziewane, efektowne; ale sam akt źle, niezręcznie przeprowadzony. W akcie drugim rozmowa między małżonkami,—świetna, wymagająca gry doskonałej. Akt trzeci kończy się znowu efektem: wygnaniem Athenais przez Klarę i wyzwaniem Derblaya przez Bligny'ego, który tymczasem został już *in petto* właścicielem milionów Moulineta. Sceny poprzednie, jak powinszowanie robotników w dzień imienin, zawieszanie przez męża pereł na szyi żony, służą, równie jak rozmowy z Athenais, za narzędzia do złamania lodów—i z istoty swojej więcej do powieści niż do dramatu się nadają. Akt IV przedstawia najwyższy punkt wznieśienia się charakteru Klary i jest w całości swej pięknym. Spokój wobec śmierci, nieugiętość wobec żony—uświetałają charakter Filipa. Króciuchny akt V, zrobiony tylko dla Klary, żeby mogła otrzymać ranę, ucałowaną przez męża,—nie ma żadnej wartości. Nabijanie pistoletów nie jest czynnością dramatyczną.

P. Ładnowskiemu głos pozbawiony głębokości dramatycznej, niedokładność ogólna mechanizmu wytwarzającego postacie żywe na scenie, nie pozwoliły oddać roli Derblay'a tak, jak ją umyślnie był pojął. Artysta to inteligentny, użyteczny do pewnego stopnia niezbędny; ale jego produkcja niema wyższej wartości, gra jego nie porówna, ani nie wzrusza. Na p. Ładnowskim mamy dowód, że samo wykształcenie, sam rozum nie wystarcza do sztuki. Oczywiście, że artysta rolę nie psuje, umie się z niemi obchodzić, ale też i nie podbija niemi widzów. Zrazu przechwalony przez krytykę tutejszą, teraz nie odbiera od niej sprawiedliwości, nawet w tem, do czego ma prawo. P. Ładnowski miał chwile szczęśliwe w akcie II w scenie z Klarą, miał je i w IV; najlepszym był mążki jego spokój, rozumna powaga przed śmiercią.

Panna Marcello jako Klara de Beaulieu stała na wysokości roli; w akcie IV łzami swemi i błaganiami wzruszyła widzów; w akcie III okazała wiele siły w wyświecaniu zalotnicy. Grze brakło równości, głos nie zawsze dopisywał; ale wogóle przy takim obsadzeniu rola może pójść i swoje zrobić. Nie można tego powiedzieć o pani Ładnowskiej, która całkiem nie pojęła, jaką Athenais być powinna, i sztuce tylko szkodziła. Pani Niewiarowskiej, która w *Cudzoziemcu* miała rolę główną i wywiązała się z niej znakomicie, we *Właścicielu Kuźnic* dostała się rola owiele niklejsza: margrabiny de Beaulieu; gra jej była po-

prawną. Panna Czaki grała z umiarkowaniem w ruchach i tonie naiwnym małą rolę Zuzanny.

Pan Tatarkiewicz ma już stałą formę na takich szubrawców w komedii francuskiej, jak de Bligny; nie oryginalnego w nowym okazy nie było. Moulineta dobrze przedstawił p. Ostrowski; nie wpadając w szarżę, umiał jednak rozbawiać. Baronowstwo de Préfont mieli tłumaczy na scenie w p. Lebrun i p. Waliszewskim. P. Grzywiński grał starannie Bachelina, zacnego przyjaciela domu pani de Beaulieu.

S. K.

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Czerwcu 1884 r.

Epidemia anarchizmu. — Walka rasowa w Austrii. — Pożary teatrów. — Teatr wzorowy. — Brak teatrów. — Jak Wiedeńczycy na lato się urządzają. — Karawana Singalezów. — Król zapalek. — Wiadomości literackie.

(2) Deszcz, zimno, w sąsiednich górach śniegi i lawiny. Ta ponurość lata dziwnie odpowiada ponuremu usposobieniu, w które ludzie wpadają wobec ciągłych processów karnych, odsłaniających potworne zbrodnie całych warstw ludności. Przyszli historycy będą niewątpliwie przytaczać, jako głównejsze znamiona naszego wieku, agitacje socjalistyczne i epidemię zamachów. Rewolucya czwartego stanu jest dzisiaj już powszechną; nie prowadzi ona wojny regularnej i nigdy jej prowadzić nie będzie, ale wojuje partyzantką; ona nikt nie wie kiedy i gdzie uderzy, ale zagraża wszędzie i odznacza się jednym znamieniem, jakim żaden jeszcze ruch ludzki się nie odznaczał. Dla przedniej strony tej rewolucyi niema przyjaciół, niema niewinnych; wszystko, co jest, jest złe, wrogię, wszystkim chce wstrząsać, wszystko walić, a niemogąc uderzać wprost i wyłącznie w tych ludzi i w te instytucje, których najwięcej nienawidzi, nderza gdziebądź, gdzie się da, byle przerażać, byle pokazywać, że istniejący porządek cały utrzymać się nie może, że nikt nie jest bezpieczny, że każdy, winny czy nie, jest pożądanym przedmiotem zamachu, jeżeli tylko z niego sprawa przewrotu może mieć korzyść podwójną: przestraszyć ogółu, a fundusze dla zropanionych i szalonych na dalsze zamachy.

Taki charakter noszą na sobie knowania anarchistów, odsłonięte w processach o morderstwa dokonane w Wiedniu i w okolicy, proces w Grazu, gdzie za jedną grupą wykryto, przeważnie robotników, knujących zamachy na życie cesarza, utrzymujących związki z grupami w Wiedniu, w Peszcie, w Londynie, w Genewie, w New-Yorku, z kąd im przychodziły bomby i gdzie pisma anarchistyczne nieznanymi przez sądy morderców, sławią jako bohaterów i męczenników.

Jakkolwiek wszystkie państwa ucywilizowane zabrały się już do reform społecznych, dla poprawienia doli wydziedziczonych, ażeby przez to przyczyniły zaburzeń usunąć, a równocześnie prawo ściga zbrodniarzy,—to przecież nie można się oprzeć obawie, że środki zapobiegawcze przychodzą zapóźno, że są niewystarczające, że rewolucya dynamitowa i skrytobójcza musi wypełnić swoje miarę w historii ludzkości, tak, jak ją wypełniły wojny chłopskie i rewolucya stanu trzeciego.

Niewesoła to perspektywa, a rozmyślanie smutnym sprzyja nadzwyczajnie „plac“ wiedeński. Odgrywa się tu bowiem na domiar złego wiekowy dramat walki rasowej, — Germanów i Madziarów przeciw Słowianom. Walka ta wypełnia całe współczesne dzieje i politykę Austrii i Węgier. W tych dniach naprzykład walczą Morawianie. Szlachacy, Słoweńcy o to, żeby przy wyborach do sejmów krajowych bodaj kilka głosów zdobyli, żeby przeciw u trybunału sejmowej mógł odzywać się język ludu, gospodarza, który sprowadzony został do roli pary na własnej ziemi i we własnej chacie. Na Węgrzech zdarzył się fakt nadzwyczaj ciekawy. Żywiły wywrotu, antysemiticy i socjaliści, poczęści i łącząca się z nimi

zasłębiona, średniowieczna reakcya,—zagroziły przy wyborach stronnictwu rządzącemu liberalnemu; więc stronnictwo to madziarskie dla zwiększenia sił swoich weszło w rokowania ze Słowianami; udało się panu Tiszy pozyskać Serbów, którzy spodziewają się od rządu pewnych ustępstw dla swojej narodowości.

* * *

Wiedeń, który pomimo zimna i słoty już się wypróżnił, staje się coraz smutniejszym, chociaż się ciągle przyozdabia i odmładza. Nawet tutejszy ludk o „lekkiej krwi“ zasępią się, widząc, że życie jego wisi na włosku, nie tylko z powodu anarchistów, ale wskutek powszechnego „szlenderianu“, niedbalstwa, zaniedbania. Po tak niedawnej hekatombie ludzkiej w Ringteatrze spalił się znowu najpiękniejszy Stadttheater. I pokazało się, że przyczyną pożaru było tylko niedbalstwo, lekceważenie. Strażnik, który miał wewnątrz gmachu nadzorować, zastępował portyera, zamiataczki chodziły sobie z otwartem światłem, ludzie zajęci na scenie dowiedzieli się o ogniu, już od półgodziny trwającym, od straży pożarnej, sprawdzonej na alarm z wieży kościelnej. I pokazało się, że gmach był tak urządzony, iż ratujących trzeba było ratować, bo ich gazy w zamkniętych miejscach dusiły, i nie było sposobu skutecznie bronić, bo górne schody nie miały okien. Bezwarunkowo wszystkie stare teatra powinny być zamknięte, z gruntu przerobione—a w jakich warunkach, o tem pisałem po pożarze Ringtheatru. Nowe doświadczenie stwierdziło te reguły, mianowicie: budynek ze wszystkich stron otwarty, na każde piętro osobne schody zzewnątrz prowadzące do szerokich kurytarzy, z których mnóstwo wejść do sali widzów i mnóstwo okien, a z każdego okna żelazne, na ścianie wiszące drabinki; całe urządzenie kamień, cegła, żelaza, drzewo *niezapalne* i materye napawane, przejścia liczne i szerokie; oświetlenie tylko elektryczne i w ochronie szklunnej, świece stearynowe, grube, dla bezpieczeństwa w razie zgaśnięcia światła; scena nareszcie oddzielona murem i kurtyną z blachy podwójnej, wypełnionej w środku warstwą masy z popiołu; podobne warunki za kulisami; z teatrów wykluczone bezwarunkowo fajerwerki i feerye, dla których potrzeba bądź pod gołym niebem aren, bądź od góry tylko dachem krytych, oczywiście tylko w lecie możliwych; w całej sali ze wszystkich stron i na wszystkich piętrach wodociągi rzucające daleki promień wody; cały dzień i całą noc ciągła w całym gmachu inspekcyja ogniowa; bezwarunkowo żadnych magazynów, składów; na garderoby i kulisy osobne budynki w pobliżu; nad sufitem, nad salą i nad sceną, wielkie rezerwoary z wodą, któreby z dołu za pociągnięciem można otworzyć i teatr wodą zalać. Bez takich urządzeń, choćby wskutek nich wymagania architektoniczne miały uciepć, żaden teatr bezpieczeństwa ani dla publiczności, ani dla artystów nie daje. Wszyscy dzisiaj o tem wiedzą—przecież upłyne zapewne jeszcze wiele lat i wiele teatrów jeszcze spłonie, zanim te przepisy staną się obowiązującym prawem. Taka już jest natura ludzkich społeczeństw.

W Wiedniu, pod wpływem świeżego strachu byłyby teatra puste—gdyby były. Ta syrena naddunajska w lecie nie ma teatrów; opera świętuje, a w jej gmachu (niby dosyć bezpiecznym) teatr nadworny odgrywa, jak zwykle przed feriami, na zakończenie roku całą seryą królewskich dramatów Shakespeara.

Pomiędzy nie dostała się i jedna nowość—bo autorem jej jest dyrektor teatru. Wilbrandt. „Baśń o Untersberg“ fantastyczne widowisko, jest niby znowioną operą, do której przykrojono różne kawałki z kompozycji Schuberta. Jest to, jako potrawa, galareta, mdła, nudna, ludzkie bez krwi, duchy plastyczne i zmysłowe, osnowa niby czarodziejska, sztucznie, na zimno pozlepiana. Natężeniem autora były reminiscencje z Tannhäusera, z Fausta i z Manfreda, a szukając przecieź oryginalności, wpadł w karykaturę i obrzydliwość. Naprzykład Gerda, duch-kobieta, przebiega strzałą miłości, z anatomiczną zręcznością, serce bohatera i wysysa tryskającą krew. Tego

już i Wiedeńczykom było za dużo; nudzili się i gniewali i sztuka odrazu padła; jedyna nowość sezonu. Nie wiem czy to wina dyrekcyi, czy istotnie taka zaległa jałowość scenę niemiecką, że z powodzeniem tylko francuskie sztuki przedstawia; oryginalne z małemi wyjątkami rodzą się nieżywymi. Tylko stary klasyczny repertuar ratuje honor i tradycję. Jestem pewny, że kilkanaście naszych komedii miałyby powodzenie na niemieckich scenach. Ale na to trzeba, nie tylko wybornych tłumaczeń, ale, co najważniejsza, układów z agencjami teatralnymi w Lipsku, we Frankfurcie. Tylko ich wpływy i *interesy* mógłby zmóć trudności i uprzedzenia. A przecież wartoby może na francuski sposób zawiązać w tym celu spółkę tłumaczy; byłby to — mówiąc stylem handlowym — export towaru krajowego; nie bez pożytku dla honoru literatury polskiej — no, i nie bez korzyści dla spółki. Tylko musiałaby być cierpliwa, czekać całe lata...

W mieście zatem teatru nie ma; w Praterze jest jeden mały ludowy, bezpretensjonalny, ale, niestety i dwa *cafés chantants*. Dla gości, dla cudzoziemców, nie ma żadnej ponęty, prócz chyba kilkunastu rodzajów piwa bawarskiego, które zakasowało wiedeńskie. Fakt ten jest obok procesów największą *sensation* w Wiedniu — dla Wiedeńczyków. Aż żal tak wielkiego miasta, że takie małe; tak pięknego, że takie jałowe; tak słicznie położonego, że tak pomijane. Przybyły gość po trzech dniach nie wie co począć; zostanie jeszcze dwa, żeby zobaczyć galerię obrazów i panoramy, i ucieka w Alpy, na Semering. Ale i tam nie zabawi długo. Nigdzie niema pensyonów, a w jedynym hotelu drą niemilosierdzie; mieszkania letnie są tylko na t. z. Vorortach, ale są tylko sezonowe, na 5 miesięcy, szalenie drogie — i puste. Meble, pościel — trzeba przynieść i prowadzić kuchnię. Jest to dla zwykłych ludzi męczarnią, ale u wiedeńskich rodzin nazywa się to: pobytem na wsi. Jest to bezmyślny, kosztowny zwyczaj, nałóg, bez żadnej przyjemności i pożytku dla zdrowia. Jest to dla nich zmiana, heca — oto właściwa przyczyna, że na taką wies wyjeżdżają. A dziwią się, że obcy nie przybywają, także z betami i kucharką i Stubenmaedchen! Cudowny t. z. Salzkammergut — Ischl, Gmunden, Salzburg i t. d., jest także przepełniony, przeważnie Wiedeńczykami z wyższych dziesięciu tysięcy — i jest też to pobyt letni najdroższy w całym świecie. Dwie godziny drogi od Wiednia możnaby mieszkać w Alpach — ale niema gdzie. Są tylko sezonowe mieszkania (jak wyżej), ale nie na wzgórzach, wśród lasów, ale w wąwozach i pod górami, w miasteczkach, na których leży ciągła mgła i dym z kominów lokomotyw. Widząc niedbałość Wiednia i okolicy — zupełną niedbałość o własny interes — nie można się dziwić, że u nas np. w okolicach Krakowa, górzystych, w Mnikowie, w Zabierzowie, na Bielanach, na Tenczynku i t. d., nikt nie mieszka na lato — bo nie ma gdzie. I tu i tam Pan Bóg dał wszystko, co mógł dać, ale ludzie nie chcą brać.

Z Wiednia powoli, powoli zaczynają się ludzie spragnieni spokoju i powietrza wychylać dalej do Tyrolu, do Karyntyi, gdzie kraj cudowny a życie tanie. Ale i w pobliżu Wiednia są jeszcze przestrzenie, któredy kolej nie idzie. — oddalone dwie lub trzy godziny drogi końmi — więc dla Wiedeńczyków niedostępne, a piękne i zdrowe. Tam, po wielu trudach i mozolach zaczynają, nie Wiedeńczycy, ale inni mieszkańcy Wiednia odkrywać nieznane kraje; tam ludność jeszcze nie zwydrzona, jeszcze też po części skłania się do życzeń nieznanych i rzadkich gości. Tam jeszcze ten i ów znajdzie jakie mieszkanie, niefałszowane mleko, las i góry i swobodę. Są to pionierzy, pracujący dla Wiednia, który, jak się tylko dowie o tem, za rok lub dwa i te ukryte miejscowości zaanektuje dla siebie i zepsuje.

Zlitował się nareszcie nad Wiedniem Niemiec, a wiedział, że zrobi doskonały interes. Słynny właściciel menażeryi z Hamburga, Hagenbek, przywiózł wyspę Ceylon czyli w mowie krajowców Singala i urządził ją w Praterze, w rotundzie wystawy. Na wstępie są wystawione produkty i wyroby miejscowe: plecionki, naczynia gliniane

z polewą kolorową w desenie, okazy skór węzów i jaszczurek olbrzymich, kawy kilka gatunków i t. d. W rotundzie, koło obwodu, stoją chaty bambusowe, pokryte matami z kokosu. Koło chat siedzą kobiety, bawiąc się świecidlami, niektóre z pierścieniami w nosie, mężczyźni zajmują się gotowaniem i robotą koło dobytku. Ludzi jest 43 mężczyzn, kobiet i dzieci, dobytek składa się ze słoni i karlich wołów zebu, z garbami. Ludność ta pochodzi od Indów, ciemno brunatna; za cały ubiór przepaska koło bioder. Jest to rasa inteligentna, łagodna; mężczyźni prawie przystojni — zarost czarny, włosy długie w szynion zwinięte. Kobiety jednak bardzo nikle i bardzo brzydkie; stosunek, taki jak u ptaków i zwierząt. Nazywają się np. Luzonana, Euponina, Bostinahami. Pierwsza z nich ma lat 21 i — pięcioro dzieci. Słonie, z kłami i bez, olbrzymie i małe, jak cielęta, czarne, osierścione, są bogactwem tej ludności. One załatwiają wszelkie ciężkie roboty, w domu i przy budowie, znoszą wycięte drzewa, orzą karczowiska; stary słon jest nadzorcą innych, słonie bawią dzieci i pilnują.

Ludność ta wierzy tylko w złe duchy; mężczyźni wykonywają też w spodnicach i z bębenkami, a niektórzy w maskach na głowie dyabelskich, żółtych, t. z. taniec dyabelski, śpiewając przytem. Dla publiczności urządzają korowody na słoniach, a dzieci i kobiety na wózkach dwukołowych; w każdym zaprzężony jeden zebu. Niemalże zająca budzą też gimnastyczne sztuki, spinanie się kocie po gładkich słupach, a już najwięcej — produkcje *zaklinaczy węzów*, okularników. Czarownik dmucha na węża; ten, podrażniony, nadyma się, głowę wyciąga, chce kąsać; czarownik zręcznie ukąszenia unika, a gra przytem na fujarce, czem widocznie węża tumani. Od czasu do czasu rzucą mu sukno czerwone; węź gryzie i zużywa przez to nagromadzoną truciznę. Niektórzy umieją pisać; niektórzy mówią nieco po angielsku. Kobiety robią koronki bardzo cenne.

Cała karawana jest wesoła i ruchliwa. W samym środku mają ustawiony gaj z palm; owoców kokosowych i napojów z nich nie mają, ale zjadają się baraniną gotowaną z ryżem.

Już to druga taka karawana jeździ po świecie, pokazuje się i zarabia.

Przykład pierwszej, która wróciła ze złotem, był zachętą. Mężczyźni nazywają się: Ukutada, Kurybanda, Punarybanda, Modelibani, Kunchtan, Rangani i t. p. Jest to widowisko nader zajmujące pierwotnego ludu i świata; dla antropologów sposobność do studyów. W pierwszy dzień zaraz 18,000 było widzów, mimo zimna i deszczu. Wszystkie szkoły będą zwiedzać — i zapewne częstować małych słonków.

Z wiedeńskiego bruku wypada zanotować śmierć, drugiego po Wertheimie, sławnego przemysłowca, króla zapalek, Pollaka. On sam obrał sobie całe życie w ciasnym kole swoich fabryk, ale zapalki jego pocierano o piramidy i świątynie japońskie. Był on, gdy poszedł w świat jako ciekawy chłopiec, najpierw wywoływaczem menażeryi w Medyolanie. Miał monomanią pilności; ludzie jego, zwłaszcza w pierwszych latach, ale i on z nimi, pracowali od 6 rano do 12 w nocy; a przytem studyował jeszcze chemię.

Praca robiła go nerwowym, wybuchającym; raz na natręta, który mu przeszkadzał, rzucił paczkę zapalek 30 funtów wagi. Dla robotników był jednak ojcem; pracowali u niego dziad, synowie i wnuki po kolei. Dwaj bracia pracowali razem z nim zgodnie, pod jego sterem, a gdy osobne założyli gniazda, wyposażyli ich krociami.

Dzieci miał 19, milionów kilka majątku; pozostawił też wielkie zapisy dobroczynne.

Jeszcze wiadomości literackie. Akademia umiejętności węgierska wydała historię kompanii 1683 przez Thaly'ego. Edward Wertheimer wydał powiegiem pierwszy tom swego dzieła: „Dziesięć lat historii Austrii i Węgier — 1801 do 1810“, oraz wojny napoleońskie. Przynosi on autentyczne dokumenta z archiwów państwowych. Wiele tam rzeczy wprost nas obchodzących, wiele szczegółów o ks. Adamie Czartoryskim.

Kronika działalności kobiecej.

— W dniu 28 Czerwca odbył się w zakładzie hr. Cecylii Zyberk-Platerówny przy ulicy Pięknnej, akt uroczysty zamknięcia roku szkolnego. Zakład ten, wielkiej użyteczności jako zawodowa szkoła pracy kobiecej, mieścił ubiegłego roku w oddziale przygotowawczym czyli wstępnym: uczennic 50; w zawodowym, to jest rękodzielniczym 70. Świadectwo uzdolnienia otrzymało uczennic 10. Z tych 5: Michalina Feodorowiczówna, Zofia Koszkówna, Marya Nawroczyńska, Felixa Wolska-Rzewuska, Helena Wróblewska. Świadectwa z możliwością udzielania wyuczonego rzemiosła w domach prywatnych; z postępowaniem 3: Mieczysława Gąsowska, Jadwiga Rutkowska i Helena Jankowska; z postępowaniem dostatecznym 2: Bronisława Zielińska i Bronisława Karwacka. Przeszło z promocją do oddziału zawodowego uczennic 23, rozdano nagród 7. Szkoła przy ulicy Pięknnej jest szacownym zakładem użyteczności publicznej, i jako taki na wysokie uznanie zasługuje.

— *Gazeta Lubelska* donosi o zakładaniu w Lubelskiem ochronek wiejskich, choć na czas miesięcy letnich, gdy praca w polu wyciąga rodziców i wogóle ludność dorosłą zdala poza dom; a dzieci same, pozostawione sobie, narażone są na wszystkie bolesne skutki opuszczenia.

W niektórych miejscowościach ochrony takie mieszczą się tam po dworach i „panienki“ zajmują się pocziwie działalnością wiejską, gdzie prócz dozoru, który chroni od wypadków, uczą jeszcze drobnych a potrzebnych robót ręcznych — za co należy im się najserdeczniejsze „Bóg zapłać“ — i najgłębsze uznanie. Przecież część zasługi ma tu *Gazeta Lubelska*, która wytrwale nawoływała do tego, a potem pukała do serc kobiecych, podając stale wiadomości o każdym bolesnym zdarzeniu poparzenia, skaleczenia — śmierci któregoś z opuszczonych dzieci. Gdy pozwolenie a nawet wezwanie do zakładania takich ochronek, zostało przez władze wydaniem, pismo nasze jako wzór niekosztownej ochronki podało przykład pocziwego czynu pani Maxymy M: z Sandomierskiego, która przed laty kilkunastu i przez lat kilkanaście taką ochronę bez żadnego nawet tytułu u siebie prowadziła, przy pomocy sędziwej kobiety wiejskiej. W Sandomierskiem, gdzie dla zbioru obszernych łanów pszenicy przybywają z Galicji liczne zastępy bandosów, to jest żniwiarzy i żniwiarzek najemnych, — dobrodziejstwo było stokroć wyższem, a wtedy nikt do niego nie wzywał, prassa nie pobudzała; więc też czyn p. Maxymy M. z własnej inicjatywy i własnej myśli występujący, zasługuje na dobrego wspomnienia nagrodę.

— P. Józefa Żdzarska miała w Płocku d. 25 Czerwca, szósty swój odczyt o Narcyzie Żmichowskiej. „Korespondent Płocki donosi“, że trwał blisko dwie godziny, „jednak zebrani wysłuchali go do końca z zajęciem i bez znużenia“. Dobra praca, pożyteczna działalność, której życzyć trzeba, aby się upowszechniła — gdy taki najlepszego rodzaju wybór ktoś dla słowa publicznego znajduje.

— P. L. Seleskiewiczówna prowadzi w Wiedniu Freie Nr. 1) szkołę gotowania dla młodych osób dobrze wychowanych. Wykład odbywa się podług książki kucharskiej, wydanej przez p. Seleskiewiczównę; szkoła łączy się z restauracją, składem domowego wyrobu delikatesów, wydaje przytem obiady na miasto i dostarcza ich dla całego stowarzyszenia: „Union“.

Nie wiemy jakie to jest stowarzyszenie; pewno kobiece.

DROBNE LISTKI.

— Kochańska wystąpiła w Londynie na wielkim koncercie jubileuszowym angielskiego kom-

pozytora, sir Juliusza Benedict, z grą na skrzypcach i zachwyciła wszystkich przez świetne wykonanie trudnego *Andante* i *Rondo* koncertu Berriota z tonu D. Powodzenie jej w stolicy Anglii jest ogromne. Na wspomnianym koncercie śpiewała przytem arya z waryacji Proch'a i wśród czterdziestu artystów i artystek, biorących tu udział, tak sąd publiczności jak i prassy oddał palmę pierwszeństwa Kochańskiej, która jednak w Londynie stale i wyłącznie nazywa się Sembrich.

— **Pojętność i moralność roślin**—oto dosłowny tytuł książki, wyszłej świeżo w Londynie. Autor E. Taylor. pisze: „Niedaleka może przyszłość wykaże nam, że nie ma życia, pozabawionego zupełnej akcyi psychologicznej, gdyż to drugie jest wynikiem pierwszego“. Następnie książka dowodzi, że rośliny są istotami żyjącymi wśród świata, na którym muszą myśleć o sobie, bronić się przeciw nieprzyjaciołom swoim i troszczyć się o swą przyszłość, o rodzinę swoją. Z potrzeby zachowania życia wyrodziła się u pewnej grupy roślin zdolność pięcia się w górę po spotkanej podporze, a i dziś jeszcze widzimy rośliny nie z tych gatunków, które pewnymi organami swemi dokonywają ruchów dla zachowania się od śmierci. Korzenie drzew, wyrosłych na skalistych wysskokach, spuszcza się w dół dla osiągnięcia warstwy ziemi rodzajnej; w piwnicach zachowywane jarzyny, wypuszczają długie pędy, które wlokąc się po ziemi, dosięgają otworu okna i podnoszą się ku światłu. Potrzebie obrony przypisuje Taylor kolce, kłującą włochatość, trujące wydzieliny roślin. Świetne ubarwienie kwiatów, ich woń, słodycz miodowa, to przynęta dla owadów, potrzebnych, aby roślina rozmnażała się, istniała w następstwach. Jak u zwierząt instynkt, objawiający się rozmaicie w rozmaitych gatunkach, jest odziedziczonym przyzwyczajeniem, tak podobnie rośliny odziedziczają przyzwyczajenia, które przedstawiają się jako instynkta. Życie w naturze rozlewa się stokroć szerzej, cudowniej, niż przypuszczaliśmy dawniej. Książka Taylor'a jest ogromnym zbiorem spostrzeżeń i podchwytanych w świecie roślinnym faktów; wyznaje on przecież, że zaledwie stanął na brzeжку tego świata i ewolucjonista w nauce, tak przecież wyraża on swoje ostateczne przekonania. „Pod wszystkim i ponad wszystkim czuwają nieznurzone zamiary (untiring purposes) mądrości i miłości Boga“. Książka mieści 100 ilustracyi.

— **Dwustu autorów irlandzkich** złożyło się na wyszłą w Dublinie książkę w modnym dziś rodzaju. Jest to pewien rodzaj kalendarza, zawierającego na każdy dzień roku jakiś wiersz, jakieś zdanie mądrości, lub wyraz uczucia, wyjęty ze znanego pisarza. Zbiorek, o którym wspominamy, jest ułożony przez kobietę, noszącą nazwę czarodziejki, przez „Meluzynę“. Zaczarowała ona głosy odzywające się przez wieki na ojczyźnie jej ziemi, i złożył się z tego jakby różaniec bardzo pięknych, a przeważnie patryotycznego uczucia pereł. Są tam wypisy z Moore'a, z O'Connella—z poetów i pisarzy dawnych, z poezyi ludowej. Krytyka angielska dziwi się bogactwu tego szczególniejszego działu, który jest bardzo gorąco narodowym. Anglicy wogóle przekładają irlandzką prozę nad irlandzką poezją, która, według ich zdania, jest napszona, a która jednak, jak pokazują wyjątki, jest tylko namiętnej, płomiennej miłości kraju wyrazem.

— **Wystawa Meissoniera** jest wciąż największym zajęciem Paryża. Obok „La Rixe“ własności królowej Wiktorii, krytyka stawia najwyżej Napoleona I-go. Scena jest z r. 1814. Odziany w szary ten surdut, który Thiers nazwał: „l'enveloppe legendaire“, przebywa on na czele

swego zmęczonego sztabu płaszczyznę, zasypaną śniegiem. Środkiem której przeorały tylko szlak drogi koła armatnie. Niespokojność i przerażenie we wzroku dumających oczu stanowią cały dramat. Odpowiada temu, i razem stanowi antytezę inny obraz, na którym młody generał Bonaparte przyprowadza z Włoch zwycięską armią. Słońce świeci, chorągwie wieją, kasiki wiszą na ostrzach bagnietów, a odkryte dumne głowy, jasnieją przed obliczem tłumów upojonych entuzjazmem. Tam jest bohater młody, wstępujący pod górę chwały, tu olbrzym schodzący w dół. Nie ma tego obrazu na wystawie, ale ci, co go poznali w pracowni mistrza, wynoszą wielce jego zalety. Opowiadają, że Meissonier, mając malować Napoleona, kazał sobie zrobić najściślej podobny „surdut szary“ i przywdziawszy go na siebie, malował przez odbicie w lustrze kilkakrotnie, aby zapoznać się z tajemnicą każdego zagięcia fałdu. „Zgłiszcz spalonych Tuilerów“, przedstawia się tak wspaniale, jak „Barykada“ z dni czerwcowych r. 1848. Jest to ulica już pusta: na stosie kamieni, wyjętych z bruku, stosy trupów w niebieskich bluzach. Krew bryzga na białe koszule, i razem obraz maluje się trójkolorowo w sposób przerażający. Meissonier opowiadał Clarétiemu, że obraz ten łączy się u niego z niezapomnianem nigdy wspomnieniem, i że dość mu zamknąć oczy, aby widok ujranej wtedy sceny, odtworzył mu się natychmiast. Szczególniej wbił mu się w pamięć młodziwiec, którego odmalował z piersią rozdartą od kuli. Patrzył on na niego w chwili, gdy dostał w tę pierś cały wystrzał plutonowego ognia. Stał wysoko na barykadzie już osamotnionej, podskoczył nad nią jak piłka i padł w tył, a od rozprężenia ciała odzież pękła na nim gwałtownie. Meissonier obchodził przez tę wystawę pięćdziesięciolecie swoje. Pół wieku temu wymalował swój pierwszy obraz: „Franciszek I-szy pasujący Bayarda na rycerza“. Obraz ten jest już obecnie znany młodemu pokoleniu Francuzów tylko ze sztychu i podnoszą się też głosy, że obrazy takich mistrzów powinny być zakupowane przez naród i mieszczzone w jego muzeach. Przy sposobności powtarza się krzyk na milionerkę amerykańską, M-rs Mackay, która zniszczyła swój portret pędzla Meissoniera. Wystawa uwydatniła rzecz szczególną u malarza, że żywioł niewieści nie istnieje u Meissoniera. Malował głównie męskość i szukał też bohaterów męskich. Clarétie pisze, że nie jest to doskonały malarz jedynie na zasadzie rozumnej i bystrej spostrzegawczości, ale że natura to wysoce uczuciowa. „Powtarzam, że jest sam pełen uczucia i dlatego też tak wzrusza“—pisze w angielskim „Athenaeum“.

— **Księżna Martin** jednoaktowa sztuka Henryka Meilhac, grana w Teatrze Komedyi Francuskiej, zyskała wielkie powodzenie. Młody arystokrata, hr. Jakób de Meuse, zruinowany przez życie w Paryżu, wraca na wieś i zadziwiając wszystkich oświadcza się o córkę swego sąsiada, doktora Larivière, dziewczę młode, proste, skromne, które się nim skrycie zajęło. Ojciec dziewczęcia odmawia, bo nie może zrozumieć w człowieku takim, jak hrabia Jakób, miłości do córki swojej. Dowód tej miłości wychodzi jednak z próby, na jaką hrabia został wystawiony. Księżna d'Aspremont Martin, młoda, bardzo bogata wdowa, istota lekka, której hrabia niegdyś składał hołdy, oświadcza mu się sama, i hrabia Jakób skłania się ku niej, ale w chwili, gdy ma już wyrzec ostateczne słowo, wobec tej wytwornej księżny, tej lekkomyślnej kobiety, uczuwa nagle wyższą, większą miłość dla Simony, która nietylko że go kocha, ale kochać jest zdolną, bo ma serce—inne

niż ta piękna pani. Scena *przerwanej ofiary* jest bardzo ładna. Po zręcznie przeprowadzonym duettino miłosnem na sposób paryzki księżna mówi kokieterjnie:—Nic już, hrabio, nie pozostaje ci teraz, jak paść mi do nóg i przysiądz, że kochasz mnie zawsze, że kochasz mnie więcej niż kiedy... Hrabia Jakób klęka też, ona biorąc przypadkiem ze stołu różę, które Simona zostawiła tam przed chwilą, pochyla się ku niemu zalotnie i powtarza:—Tak... kochasz mnie, hrabio... lecz on wstaje nagle.—Nie, nie kocham cię pani—odpowiada.

Woń róż, świeżość róż, wdzięk ich naturalny przypomniły mu nagle Simonę i odepchnęły od lekkiej, zimnej, kokieteryjnej istoty. Ona-to przyjmuje jak taka kobieta: jest i w tej chwili jeszcze dowcipna, ale zawsze pyta: dlaczego jednak ukląkł, aby jej powiedzieć:—Nie... nie kocham?—Byłeś hrabio na drodze do powiedzenia mi bardzo ładnego komplementu... mówi z drażniącym uśmieszkiem, a on odpowiada:—Czy pani sądzisz, że przeżuwałam, co mi się stanie w sercu? W bardzo miły i głęboko psychologiczny sposób przeprowadzone zwycięstwo kobiety, która powinna budzić miłość nad kobietą, dającą tylko wdzięk swej kokieterji i błyski swego dowcipu. Kwiaty, to jest natura, to jest prawda—przemówiły za nią.

OGŁOSZENIE.

Po cenie niżej kosztu to jest: po kop. 30 z przesyłką kop. 35, sprzedaje się wyłącznie

dla prenumeratorek **Bluszczu**

wyszła z druku książka pod tytułem:

ZUPEŁNY KURS NAUKI

KROJU SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH

oraz wszelkiej **BIELIZNY**

damskiej, męskiej i dziecinnej

przez

Thirifoqu'a

przekład E. H.

Wykładany w Warszawie przez A. KOBIERZYCKĄ uczennicę

Thirifoqu'a.

Wykwalifikowaną nauczycielkę kroju ubiorów damskich przez Urz. Zgr. Star. cechu krawiec. m. Warszawy.

Z 13 tablicami objaśniającymi.

Wydanie nowe poprawione i pomnożone.

Skład główny w księgarni M. Glücksberga, Wydawcy „Bluszczu“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Z krwawych dni**; oraz powieści pod tytułem: **Sąd Boży**, arkusz 4-ty.

TREŚĆ. Seweryna Duchńska, (życiorys), przez Maryą Ilnicką. — Kobieta w Anglii. (dalszy ciąg), przez M. I. — Stanowisko poety, (poezya), przez Witesława Halka. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd teatralny, przez S. K. — Korrespondencja zagraniczna, Wiedeń. — Kronika działalności kobiecej. — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою
Варшава, 20 Іюня 1884 года.